

# Jan Błoński

---

## Korzenie trzeba zapuszczać nie w piasku i nie w skale

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (19), 154-159

---

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

jedno małe wyjaśnienie: nie chcę broń boże twierdzić, że Kornhauser to kryptosocjolog, wydaje mi się, że jego poezja broni się przed zarzutem dydaktyki publicystycznej bardzo łatwo. Chcę tylko powiedzieć, że jakkolwiek zostanie ona w świadomości społecznej jako fakt estetyczny, to przekaz poetycko nadany przez Kornhausera mógłby być także ciekawym przekazem poznawczym na gruncie innej formy świadomości społecznej, co więcej, że na tym właśnie gruncie nie ma w tej chwili odpowiedników równie ciekawych. Oczywiście nie oznacza to, że udowodniłem, iż mamy do czynienia z „zastępowaniem”, żeby to zrobić, musiałbym zapewne opracować katalog obecnie dostępnych form uczestnictwa w życiu społecznym w tym kraju, i zastanowić się, jakie szanse ma socjolog w porównaniu z Kornhauserem. A tego nie uczyniłem, i chyba nie uczynię, zostawiając to wnikliwemu czytelnikowi.

*Stawomir Magala*

### **Korzenie trzeba zapuszczać nie w piasku i nie w skale**

Julian Kornhauser, Adam Zagajewski: *Świat nie przedstawiony*. Kraków 1974 Wydawnictwo Literackie, ss. 207.

Kornhauser i Zagajewski należą do grupy „Teraz”. Wraz z całą falą poetów, którzy pojawili się koło 1968 roku, przeciwstawiali się najpierw tzw. pokoleniu 60 (ruchowi „Orientacji”, Hybrydom, nowemu klasycyzmowi itd.), następnie zaś — także poprzednikom, a więc pokoleniu 56, „Współczesności”. Od paru lat mówi się o nawrocie do tendencji romantycznych, o buncie, kontestacji i nonkonformizmie, ale zarazem — o walce o wartości zbiorowe i społecznej odpowiedzialności poezji. Przeciwnikami są estetyzm i „mały realizm”, dzisiaj już dogorywające, jeżeli nie pogrzebane. Funkcje teoretyka odmiany pełnił dotąd Barańczak: zwłaszcza w *Nieufnych i zadufanych* pokazał, że coś się zmieniło w literackiej świadomości nowego pokolenia... i że to zmiana nie na żarty. Obaj krakowscy autorzy różnią się nieco od Barańczaka. Kornhauser (a pośrednio także Zagajewski) kwestionuje przeciwstawienie romantyzm — klasycyzm, utożsamiają pokolenie 56 z pokoleniem 60 (czemu bym przyklasnął), od „prywatnej tradycji” lingwistycznej wołą chyba ekspresjonistyczną. Szukają szerszej formuły poetyckiej — czy literackiej — co tak podsumowuje Zagajewski: „romantyzm i klasycyzm stoją naprzeciw siebie jak zapaśnicy, którzy znają wszystkie swoje sztuczki (...) wielość starć sprawiła, że indywidualny, terażniejszy światopogląd trzeba składać ze strzaskanych odłamków tych wielkich racji”

(s. 149). Mnie się to wydaje słuszne: poetycka praktyka potwierdza przekonanie, że „literatura nieufnych — mówiących prawdę (...) — może poszukiwać trwałych struktur w dzisiejszych odmianach klasycyzmu lub wyrażać sprzeciw w gorączkowych odmianach dzisiejszego romantyzmu” (s. 197). Herbert może się porozumieć z Krynickim i zużyte przeciwstawienie — choć niegdyś taktycznie zrozumiałe — zatrze się chyba w świadomości poetów. Jakkolwiek by było, Kornhauser i Zagajewski stoją w tym samym szeregu co Barańczak, Krynicki, Markiewicz, zespół „Nowego Wrażenia” (za nimi zaś można by znaleźć inspirację Burka). Podejście do przyszłości jest jednak nieco odmienne, co postaram się odtworzyć.

„Literatura współczesna nie ma korpusu, ma powieści eksperymentalne (...) albo popularne” (s. 10). Rozeszła się definitywnie twórczość „wysoka” i „niska”. „Gdy milczą filozofowie, mówi kultura masowa” (s. 205). Ale to nie tylko różnica poziomu, durnej operetki i pustej filharmonii, rozpaczliwego spadku kultury mieszczańskiej. Dzisiejsza kultura masowa to zresztą nie tylko Lucjan Kydryński, małżeństwo Frammerowie (kto to jest?) i wokaliści dancingu w Świeradowie; to również „przemówienia, uroczystości, pogadanki, akademie, narady, powitania” razem z ich „powiatową ideologią” (s. 202). Wszystko to symptomy „Polski dziecięciniałej”, zrezygnowanej, ogłupiałej i zmęczonej, choć zarazem znudzonej, tej, która stale opowiada się za łatwizną i prowincjonalizmem, przeciw Beatlesom i Borowskiemu, za Sopotem i zgaduj-zgadulą. Zrodziły się z rozpadu „paradygmatu”, systemu wartości kulturalnych, który nawet wtedy działa, kiedy — jak na Zachodzie — większość się przeciwko niemu buntuje. „Obydwa światy, mieszczański i rzeczywistości naszego życia różnią się tak dalece, że korzystanie z tamtego paradygmatu jest niemożliwe” (s. 193). I temu również trudno zaprzeczyć.

Jednak literatura upiera się często przy starych wzorcach... choćby w szyderstwie, wspomnieniu czy na pół onirycznym marzeniu. Nasz własny paradygmat (socrealizm) narodził się bowiem martwo czy też skonał — ku ogólnej uldze — w pieluszkach. W sumie pisarze zaczęli z literatury ewakuować rzeczywistość: „Wysoka” twórczość — ona przede wszystkim zajmuje wojujących poetów — rozeszła się ze świadomością społeczną przeciwnego nawet konsumenta kultury. Proponuje bowiem na użytek publiczny konformizm, na prywatny — drwinę, majaczkliwe wspomnienie, estetyzm. O innej Polsce piszą pisarze, inna jest. Nie są to prawdy całkiem nowe, ale w końcu prawdy. Nasza literatura jest przeważnie zwrócona ku przeszłości. „To czas się cofnął i odwrócił lica”... Ale czy nieczęsto tak bywało? Choćby w tym romantyzmie, o którym tyle się pisze? Jakież był niemiecki, angielski, francuski romantyzm? Poeci jezior, Chateaubriand i młody Hugo, Novalis i von Arnim? I patrząc w przeszłość można przygotowywać rewolucje. Autorzy mają jednak najzupełniejsze prawo do mniemania, że jest to —

w XX wieku i w Polsce — skłonność niekorzystna dla literatury i kultury.

Pioruny Kornhausera i Zagajewskiego nie padają z tej samej chmury, co narzekania Putramentów i Nawrockich, chociaż czasem wyładowują się w podobnej stylistyce. Spora część dzisiejszej literatury nastawiona jest „na szczególnie świat, na dzieciństwo, na przeżycia dojrzewania i inicjacji, na okres indywidualności” (s. 39—40). Tu uważam, że Zagajewski nie całkiem prawdopodobnie przytacza moją wypowiedź z Kłodzka<sup>1</sup>, bo kiedy pękł paradygmat, na kimże i na czym budować, jeśli nie na własnym, intymnym doświadczeniu? Ale to nieważne, wracam do meritum. Zamiast więc współtworzyć społeczną rzeczywistość (a więc być kulturą w rozumieniu Brzozowskiego, który się tu nieraz przypomina), literatura jest tylko wytworem tej rzeczywistości, biernym odbłaskiem bezsiły. Tymczasem świat „delegacji służbowych i budek z piwem” — codzienność nasza, dobra czy zła, ale zawsze prawdziwa — na pewno niesie, w to Zagajewski wierzy jak w Credo, swe własne tragedie i nawet swą własną metafizykę. Kultura jest skazana na rzeczywistość, choćby ta rzeczywistość była nieaktualna. Nie będzie żadnych metafizyk ani estetyk, zanim nie nastąpi wstępne rozeznanie zagadkowego kontynentu, którym stała się dzisiejsza Polska. Literatura musi przejść próbę zwykłości, codzienności, bo tylko w działaniu sprawdza się i hartuje cnota i piękno. Tak by to na starą modłę — i prawdopodobnie ku zgorzeniu autorów — można podsumować. Jednak bynajmniej nie idzie im o pochwałę „małego realizmu”, im w ogóle o żaden realizm nie idzie. Raczej o to, że literatura musi — aby nabrać powagi, ciężaru, skuteczności — wychodzić od doświadczenia konkretnego i prowadzić do uogólnienia i symbolizacji, nie zaś — startować do znaków, alegorii i emblematów. Rozumiem intencję i chętnie bym się z autorami zgodził, póki mówią o warunkach literatury. Przyjrzyjmy się jednak najpierw wnioskom i przykładom.

Pomijam już zastrzeżenia teoretyczne. Zagajewski — moim zdaniem bezzasadnie — nakłada opozycję realizm — nominalizm, zaczerpniętą z filozofii, na problemy literackie. Rozumie także „historyczne” jako „bezpośrednio dane”, co każe mu w praktyce utożsamiać dzieje ze spontanicznością... Wreszcie i epistemologicznie łatwo to zakwestionować (gdzie jest to „czyste” doświadczenie, drogi filozofie?) Ciekawsze są jednak oceny i polemiki. Zagajewski nie obniża bynajmniej rangi pisarzy, których nie podziwia, ale nie waha się strzelać ostrą amunicją. Tak na przykład zarzuca Kijowskiemu, że każe swoim książkom funkcjonować jakby w „dwu rzeczywistościach”, alegorycznej, wewnętrznej, fantasmagorycznej... i aktualnie społecznej (s. 143). Ale czy to źle? Czy inaczej postę-

pował choćby... Słowacki? I cóżbyśmy robili, gdyby literatura szukała zawsze społecznej jednoznaczności? To samo — albo bardziej — odnosi się do uwag o *Kongresie futurologicznym* Lema. Tam właśnie alegoria nadaje pojemność i bogactwo opowiadaniu. Bo przecież to nie (tylko) z polskiego doświadczenia i problematyki zbudowany tekst! I to co Kowalski przeczyta alegorycznie, Smith dosłownie niemal — albo odwrotnie. Dostało się także Konwickiemu, który „opisuje nasz świat jako cywilizację obcą (...) która tak dalece nie dorównuje marzeniom, że nie jest godna kultury jako pozbawiona wartości etycznych i cywilizacyjnych” (s. 38). Czyż jednak każdy buntownik — a już zwłaszcza romantyczny — nie musi przejść przez doświadczenie obcości?

Tak więc zarzuty Kornhausera i Zagajewskiego budzą często niewyraźny opór... nawet jeśli w intencji słuszne, w założeniu podobne do moich, w wypowiedzeniu jakieś niepełne albo zgoła drażniące. Rzecz w tym, że w literackiej polemice nieczyste ciosy muszą padać — ale muszą też złościć historyka, teoretyka, słowem, zaciekawionego świadka, nie uczestnika dyskusji. Popatrzmy teraz, jak sobie autorzy radzą z bezpośrednimi poprzednikami. Egzekucja Harasymowicza nie wzbudziła we mnie oburzenia. Tak, to prawda, porażka poety stąd wynikała, że nie oczekuje „oporu rzeczywistości”, że ucieka w bajki, najchętniej o sobie, świętym Jerzym i lunatyku krakowskich dachów. Dlatego właśnie tak bardzo podoba się (czy podobał?) najmłodszym — oni także nie czują, szczęśliwcy. Nie ma dzisiaj Gałczyńskiego, powiadają Kornhauser i Zagajewski. Ano owszem, nie ma. Czemu się jednak martwicie? Prawdziwy Gałczyński — nie ten ze szkolnych czytanek! — nie powinien być przecie dla was ideałem, oj, nie powinien... Subtelna jest analiza poezji Grochowiaka, chociaż bardziej już niesprawiedliwa: bo przecież i przez stylizację „nagie świecą kości” społecznego cierpienia. *Nie było lata* — pisze Grochowiak. Jakiego lata? Jużeście całkiem byli dorośli, panowie pamfleściści! I cóż on miał w końcu pisać, ten Grochowiak? List otwarty do pana generała? Talent Grochowiaka rozmazał się w estetycznej retoryce, muszę go jednak bronić przed Savonarolami. Fascynacja brzydotą jest w poezji równie uprawniona co „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele”, tym bardziej że brzydotę widać, zaś szczęście w pączku dopiero. Co do Herberta, obaj autorzy nie mogą się zgodzić, jeden uważa go za moralistę, drugi za muzealnika. Trudno jednak zaprzeczyć, że ta poezja jest właśnie reakcją na historię, na aktualność. „Pozaczasowość” Herberta jest skutkiem nieuważnej lektury. Co do pokolenia „Współczesności”, nie ja będę je bronić. Płaci teraz rachunek za lata życia na kredyt. *Vae victis*. Ucieszyło mnie, nawiasem mówiąc, jak Kornhauser odczytał — po tylu latach! — intencje mojej *Zmiany warty*. Znacznie bliżej mego zamiaru niż ktokolwiek z ówczesnych polemistów, co psy na niej wieszali, kiedy dzisiaj, przeciwnie, ucho-

dzi czasem za apologię pokolenia! Przepraszam, więcej o sobie nie będę.

Muszę jednak bronić pisarzy, którzy byli — czy są — mi bliscy. Pojmuję dobrze, że głos niezadowolonych słyhać lepiej niż chwalców (mamrotanie laurek, które „Literatura” wystawi wkrótce tyśiącu trzystu członkom Związku Literatów Polskich). Biorę też odpowiedzialną poprawkę. Ale wsadzać wszystkich poprzedników — od Parandowskiego do Jerzyny — do wspólnego worka, w którym „absolwenci przedwojennych gimnazjów”, dla których „świat był kulturalny i przejrzysty” (s. 42), tkają swe estetyczne pajęczyny, w jakie chcieliby nas pospołu omotać... nie, na takie zabiegi nie ma zgody. Bo właśnie było odwrotnie. Właśnie ci absolwenci — od Borowskiego i Herberta do Mrożka i Kijowskiego, co wprowadzili po wojnie, ale jeszcze z łaciną zdawali maturę — wprowadzali do literatury tragizm rozdarcia i szaleństwo drwiny, młodzi zaś umykali jak mogli od „tragicznego i aksjologicznego” wymiaru, za którym tęskni Zagajewski. Sporo się tutaj mówi o społeczeństwie i historii. Ale dobrze wiadomo, że na psychologię zapisują się młodzi ludzie, którzy mają kłopoty z własnym wnętrzem, zaś na socjologię tacy, którzy społeczeństwo chcą nie badać, ale reformować lub burzyć. Czy nie podobnie z historią? Słowo „historia” wraca u Burka na przykład w co drugim zdaniu. Co ja mam jednak myśleć o jego wycuciu historycznym, kiedy pisze, że czytelnicy *Po- piołu i diamentu* dlatego przejmowali się losem Maćka Chełmickiego, że „tragedia (...) ruchów lewicowych zdobywających władzę — nie mogła się w pełni wyrazić na kartkach literatury”?<sup>2</sup> Trochę podobnie bywa u Kornhausera i Zagajewskiego. Nie można zupełnie bezkarnie modelować przeszłości. Lepiej mówić jasno, czego się chce i z dobrą wiarą szukać sprzymierzeńców, których mają grubo więcej, niż im się wydaje.

Najwięcej oporu budzi mała wyrazistość pojęć. Obaj autorzy chętnie wykrecają się moralistycznym sianem. Bardzo niedookreślone są pojęcia „zaangażowania”, „współczesności” i „rzeczywistości”, które nieustannie deklinują. Można z nich zrobić rozmaity użytek, bo terminy te zdarte i poniekąd sprostytuowane, zaś nie zawsze łatwo stawiać kropki nad i. Dlatego dziwię się gniewom na ciekawość metodologiczną, na „mały strukturalizm” i przeuczenie poetów... Zapewne, wszystko to może usprawiedliwiać *splendid isolation* humanistów; ale mnie się zdaje, że bardziej pomaga zrozumieć, o czym naprawdę mówimy. „Penetracja poznawcza” świata nie jest — nawet u poetów — darem czystego natchnienia. Tym bardziej, że Zagajewski uważa, że poezja, nowa poezja, jest „zwinętym organizmem, zawierającym w sobie geny tego wszystkiego, co składa się na kompletną strukturę kultury” (s. 206). Ale nawet jeśli dziecko będzie cudowne, potrzebuje akuszarki.

<sup>2</sup> *Dyskusja o literaturze XXX-lecia*. „Twórczość” 1974 nr 7, s. 57.

Pojmuję wiarę, nadzieję, nawet ducha sekty nie potępię. Jeśli coś mnie trochę niepokoi, to — nadmierna może — tęsknota do normy nowej, do „paradygmatu”, który by jeśli nie wyjaśnił wszystkiego, to przynajmniej drogę dobrze wskazał... Zagajewski chciałby, aby kultura wykształciła „wzór jedności życia i myślenia, wiary i działania, frazesów i prawdy, prawdy oficjalnej i prawdy domowej, religii i ateizmu, etyki i sprytu życiowego, zapobiegliwości i kradzieży, uczciwości i kariery”, aby przestała „wszystko widzieć osobno” (s. 31). Poezja — ów „zwinięty organizm” — miałaby zatem wyprorokować nam religię i politykę, retorykę i moralność. Dzisiaj jednak wielu ludzi boi się tak totalnych marzeń. Zadomowiliśmy się w chaosie — powiada Zagajewski — jak robaki w serze. Ale na ten ser pracowały stulecia i kontynenty... Czy aby na pewno skończyły się „ciemne czasy”, za jakie Brecht uważał wiek XX? Czy na widnokregu maluje się — niby jutrzeńka — choćby blask spełnionej utopii? *Świat nieprzedstawiony* odsłania drugą stronę młodo-poetyckiego ruchu: po Barańczakowej nieufności — łaknienie „jedności życia i myślenia, wiary i działania”. Ja zaś stary, niewierny, wdrożony do samotności, bo wiem z doświadczenia, że w świecie masowych prawd często tak właśnie bywa, że w — pogardzonej przez Zagajewskiego — „indywiduacji” poety tkwi najrzetelniejsza (albo nawet jedyna) szansa autentyczności, szansa przyswojenia czy odtworzenia zespołu wartości, etycznych, estetycznych, za które warto dać liryczną głowę... Co nie znaczy, abym mnożył zastrzeżenia z pustej złośliwości. Kornhauser i Zagajewski mają słuszność, kiedy biadają nad „wykorzeniem” literatury ze świata, w którym przyszło jej się rozwijać. Jeśli jednak zapuszczać korzenie, to — upraszałbym — ani na piasku, ani na skale.

Jan Błoński

## Drzewa nikt nie wyleczy

Język chorych na schizofrenię, w miarę postępu choroby, ulega coraz większej dezintegracji. Myśl zbacza, zaczepia o przypadkowe obrazy i przypadkowe skojarzenia dźwiękowe (niekiedy onomatopieczne), błądzi po peryferiach metafor i niejasnych symboli nie mogąc przebić się przez szum zakłóceń, żeby wyrazić się w klarownej formie.

Warto zwrócić uwagę na zanotowany przeze mnie monolog pewnego technika, stanowiący ciąg skojarzeń ewokowanych przez dostrzeżone w pokoju przedmioty.

Poczęstowany w czasie rozmowy papierosem, szybkim ruchem chory wyciągnął go z paczki, zapalił, a potem wziął zapałkę w palce, przyglądał się jej i mówił: